Mack Reynolds

Luvver

(Luvver)

Fantastic Adventures, June 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

— Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Lądowanie zabronione.

Donald Macbride ciągle jeszcze siłował się ze sterami sportowego krążownika, jednak napięcie mięśni jego twarzy już nieco zelżało, a oczy nabrały odrobinę blasku nadziei. Wygląda na to, że się uda.

Radio ryknęło ponownie:

— Zbliżacie się do strefy zamkniętej. Lądowanie zabronione.

Macbride cierpko się wykrzywił.

— To brzmi tak, jakby powiedzieć człowiekowi, który właśnie przybył z pustyni, że nie wolno mu się napić. — Mocno naparł na dźwignię sterów. — Najgorsze już za nami, damy radę, kochanie. — Otarł pot z czoła. — Nie mówiłem ci tego wcześniej, ale myślałem że już po nas.

Wzdrygnęła się.

— Nie musiałeś mi nic mówić, ojcze. Prawdę mówiąc. Wystarczyło na ciebie popatrzeć…

Ekran telewizora rozjaśnił się i pojawił się na nim obraz gniewnej twarzy młodego, rudowłosego człowieka.

Oznajmił krótko:

— Czy nie odebrał pan naszych ostrzeżeń? Wchodzi pan do strefy zamkniętej. Ze względów bezpieczeństwa zabrania się…

Macbride odpowiedział płomiennym gniewem:

— Ty młody głupcze! Czy nie widzisz, że mamy kłopoty? Z najwyższym trudem udało mi się jakoś dociągnąć tutaj to przeklęte pudło przez ostatnie pół miliona mil. A ty mi mówisz, że nie możemy lądować!

Twarz w telewizorze wykrzywiła się ze zmartwieniem.

— Czy nie da pan rady dolecieć do jakiegoś innego portu? Tylko w przypadku stanu najwyższego zagrożenia…

Starszy mężczyzna odpowiedział mu z gniewem:

— Będziemy mieli szczęście jeśli uda nam się wylądować u was. To jest stan najwyższego zagrożenia. Mojej córce i mnie naprawdę się udało, że dolecieliśmy aż tak daleko.

— Córka? — wzrok młodego człowieka powędrował do tyłu nad ramieniem Macbride'a i oczy mu się rozszerzyły, gdy zobaczył ładną blondynkę. — Niech się zmienię w *makrona*, dziewczyna! — Połapał się, co powiedział i zaczął się rumienić. Ekran nagle zgasł.

Patricia Macbride roześmiała się.

— Przecież on się zarumienił, ojcze! Prawdę mówiąc. Jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

Ojciec popatrzył na nią groźnie, ciągle siłując się ze sterami.

— Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że ciągle mogą istnieć młodzi ludzie, cechujący się tą starą dobrą przyzwoitością, że wstyd im zakląć w obecności damy?

Zachichotała.

— Jeszcze nigdy.

Parsknął i zaczął coś odpowiadać, ale ekran telewizyjny ponownie się rozjaśnił. Pojawiła się na nim nowa twarz. Miała nieco zaskoczony wyraz, a czapka Sił Kosmicznych i krawat sprawiały wrażenie, jakby musiano gdzieś ich pośpiesznie szukać i zakładać. Głos brzmiał formalnie, ale oczy były rozszerzone, i chociaż mężczyzna mówił do Macbride'a, jego wzrok kierował się cały czas na Patricię.

— Porucznik Steve Benton, proszę pana. Jestem oficerem dowodzącym Bazą Zabezpieczenia 1654R. Muszę pana uprzedzić, że lądowanie jest możliwe tylko w przypadku najwyższego zagrożenia, oraz że jeśli pan u nas wyląduje, to istnieje możliwość, iż nigdy nie będą mogli państwo opuścić tej planety.

Posiadacz uszkodzonego statku kosmicznego warknął z oburzeniem.

— Nonsens. Niech pan trochę zsiądzie ze swego wysokiego wojskowego konika. Czy nie słyszał pan, kim jesteśmy? Człowiek z córką, w sportowym krążowniku, który kompletnie zwariował. Musimy wylądować. Łatwo będzie sprawdzić moje referencje. Czy my wyglądamy na jakichś szpiegów, czy kogoś takiego?

Porucznik lekko zesztywniał w odpowiedzi na to besztanie.

— Źle mnie pan zrozumiał. To miejsce jest niebezpieczne dla istot ludzkich. Nie jesteśmy bazą wojskową. Naszym zadaniem jest ostrzeganie wszystkich przelatujących statków kosmicznych. Można powiedzieć, że stanowimy odpowiednik latarni morskiej.

Macbride tracił resztki cierpliwości.

— Niezależnie od sytuacji, podchodzimy do lądowania. Pozostańcie na nasłuchu.

— Tylko jedna rzecz, proszę pana. Po wylądowaniu, nie wolno państwu opuszczać statku, ani wyglądać przez porty widokowe. Przez cały czas pobytu na planecie, będziecie państwo znajdować się w poważnym niebezpieczeństwie. Zrobimy wszystko, co się da, aby państwa ochronić.

Pół godziny później, mały krążownik bezpiecznie wylądował na jedynym lądowisku niewielkiej planety. Teraz, kiedy zakończył się długotrwały wysiłek prowadzenia uszkodzonego statku kosmicznego, przez tak wiele mil przestrzeni kosmicznej, nadeszła nieunikniona reakcja. Będący w średnim wieku Macbride, usiadł ciężko w fotelu antyprzyśpieszeniowym, wyciągając papierosa.

— Gdzie oni u diabła są? Nie lądować! Nie wychodzić ze statku! Nie wyglądać przez porty! To miejsce pewnie zamieszkują jacyś szaleńcy, a ja wkrótce mam się do nich przyłączyć.

Patricia zachichotała.

— Oni nie wyglądali na szaleńców. Ten rudowłosy był całkiem słodki. Prawdę mówiąc.

Usłyszeli stukanie w wewnętrzne wrota śluzy powietrznej i Macbride podniósł się z chrząknięciem, by je otworzyć. Goście już zamknęli za sobą zewnętrzny właz i za ich plecami nic nie było widać.

Ubrani byli w regulaminowe uniformy Sił Kosmicznych, ale widać było, że nie jest to dla nich normalny strój. Kołnierzyk munduru porucznika Bentona był za ciasny, a krawat przekrzywiony. Jego towarzysz miał na sobie właściwą tunikę, ale wyglądała ona, jakby została pośpiesznie

wyciągnięta gdzieś z jakiegoś zapleśniałego pudła, zaś jej posiadacz przez wiele ostatnich lat używał mniej formalnego ubioru. Obaj wydawali się czuć bardzo niepewnie.

Porucznik Benton zachowywał się bardzo sztywno.

— Czy mogę przedstawić porucznika Dave'a Malone'a, mojego asystenta.

Macbride zahuczał:

— Jestem Donald Macbride z Terry; a to moja córka, Patricia. Muszę powiedzieć, że jak do tej pory sposób traktowania nas ze strony przedstawicieli Sił Kosmicznych naszej własnej planety, był dosyć bezceremonialny, mówiąc oględnie.

Oczy obu poruczników utkwione były w córce, a nie w ojcu, ale Benton zdołał w końcu wydukać odpowiedź:

— Jest nam naprawdę przykro, proszę pana… ale, eeee, rozkazy. Obawiam się, że wylądowali państwo w ekstremalnie niebezpiecznym miejscu.

Patricia zachichotała.

— To potwornie ekscytujące. Taka przygoda. Prawdę mówiąc.

Jej ojciec parsknął.

— Niewątpliwie Siły Kosmiczne mają dostateczne środki aby chronić każdego cywila, który znalazł się na tej planecie. Panie poruczniku, przypuszczam, że ma pan tutaj mechaników i urządzenia naprawcze, by połatać ten mój krążownik?

Benton przesunął wzrok na Macbride'a.

— Porucznik Malone i ja, jesteśmy tutaj sami. Jednak obaj mamy znaczne doświadczenie, jeśli chodzi o statki kosmiczne. Powinniśmy dać radę w ciągu paru dni postawić pańską wyścigówkę na nogi. Niestety, będziecie państwo musieli spędzić cały ten czas zamknięci w swoich kwaterach. Obawiam się, że to nie będzie zbyt wygodne.

Patricia zawrzała.

— Chce pan powiedzieć, że powietrze tutaj nie nadaje się do oddychania? Że musicie przez cały czas siedzieć w środku? To absolutnie straszne. Musicie być okropnie znudzeni. Prawdę mówiąc!

Porucznik Dave Malone w końcu był w stanie coś powiedzieć. Do tej pory stał, nieomal z otwartymi ustami, wpatrując się w słodziutki produkt najdroższych ziemskich salonów piękności.

— To nie tak, panno Macbride. Z tutejszym powietrzem wszystko jest w porządku. Nie możemy tylko pozwolić państwu na kontakt z miejscowym życiem zwierzęcym.

Dziewczyna zachichotała.

— Ale, panie poruczniku, jestem pewna, że w razie czego zdołacie nas panowie obronić.

Jej ojciec parsknął.

— Jeśli te zwierzęta są takie niebezpieczne, to dlaczego nie uznaliście za potrzebne zabrać ze sobą broni?

Benton przejął pałeczkę.

— Pan nie rozumie. Niebezpieczeństwo jest takiego rodzaju, że żadna broń nie jest w stanie państwa ochronić. — Lekko się wzdrygnął, jak

gdyby sam pomysł wydawał mu się odrażający. — W każdym razie, to co musimy teraz zrobić, to przetransportować państwa do waszych kwater, gdzie będziecie mogli odpocząć. Porucznik Malone i ja, przyjrzymy się waszemu statkowi i zobaczymy co trzeba zrobić. Obawiam się, że na czas tego krótkiego spaceru do naszej bazy, musimy państwu zasłonić oczy.

Zaczęli głośno protestować, ale porucznik Benton był nieugięty. Oczy musiały być zasłonięte. Przepisy. W końcu podporządkowali się i zostali ostrożnie wyprowadzeni z krążownika. Następnie poszli po, jak się wydaje, trawiastej nawierzchni, do domu dwóch oficerów Sił Kosmicznych. W chwilę później opaski z oczu zostały zdjęte i mogli swobodnie przyjrzeć się swemu otoczeniu.

Kwatery były sporych rozmiarów i pozornie całkowicie zaspokajały potrzeby dwóch ludzi na ich samotnym wygnaniu, ale widać było, że izolacja odzwyczaiła ich od panującego w armii porządku. Całe to miejsce było przykładem kawalerskiego nieładu.

— Chyba najbardziej przydałby się panom tutaj kobieta — zachichotała Patricia.

— Ma pani absolutną rację — westchnął Malone.

Macbride zmiażdżył go spojrzeniem.

— Żeby utrzymać to miejsce w czystości — szybko dodał rudowłosy. — Pomyślmy, to już niemal sześć lat, odkąd był tu ktoś poza nami.

— Sześć lat! — zaprotestował Macbride. — Czy chce pan powiedzieć, że nie zmieniono panów od sześciu lat? Przecież to nie do uwierzenia.

— Dla Steve'a, to już ponad dziesięć lat — kwaśno stwierdził Malone.

— Wystarczy, Dave — przerwał mu ostro Steve Benton. — Już powiedziałeś za dużo.

— Pan porucznik powiedział za mało — wojowniczo odparł Macbride. — Znam Siły Kosmiczne. Sam w nich służyłem przez trzy lata, w czasie wojny marsjańskiej. A zostawienie ludzi samych w odizolowanej bazie na sześć lat, nie mówiąc już o dziesięciu, bez żadnego odpoczynku, to niepotrzebna męczarnia. Od was, chłopcy zażądano poświęcenia, przekraczającego granice obowiązku.

Steve Benton podszedł ze zmęczeniem do przenośnego baru i nacisnął kilka różnych przycisków. Z urządzenia wyłoniły się cztery oszronione szklaneczki. Wskazał reszcie ręką krzesła i rozdał przygotowane drinki.

— Jeśli pan sobie przypomina, panie Macbride, to tuż przed lądowaniem ostrzegałem państwa, że być może nigdy nie będziecie państwo mogli opuścić tej planety. W takiej właśnie sytuacji znaleźliśmy się ja i porucznik Malone.

Twarz starszego mężczyzny poczerwieniała.

— Chce pan powiedzieć, że możemy być zmuszeni do pozostania na tej nieznanej, bezludnej planecie, przez dłuższy czas?

Dave Malone uśmiechnął się szeroko i pociągnął łyczek ze swej szklaneczki.

— Nie, przez dłuższy czas, proszę pana. Na zawsze.

Macbride przesunął swe gniewne spojrzenie z Bentona na Malone'a.

— A cóż to ma być za fantastyczna groźba!

Benton uniósł rękę.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Macbride. Nie mamy zamiaru zmuszać państwa do pozostania tutaj. A, przy konsekwentnym zachowaniu właściwych środków zabezpieczających, nie będzie powodów, byście państwo tu pozostawali. Proszę tylko pamiętać, musicie zostać w tym budynku do czasu naprawy państwa pojazdu, a wtedy będziecie mogli państwo spokojnie stąd odlecieć.

— Chciałbym także dodać, że, jak się wydaje, po słowach porucznika Malone'a, odniósł pan niewłaściwe wrażenie. Siły Kosmiczne nie zmusiły nas do pozostania tutaj. Zostaliśmy z własnej woli. Dwa razy do roku wysyłany jest transportowiec, by podrzucić nam wszystko, czego nam potrzeba. — Wskazał ręką na przenośny bar i inne wygody, których zazwyczaj nie ogląda się w wojskowych instalacjach. — Otrzymujemy znacznie więcej, niż to co zwykle rozumie się przez racje wojskowe. Nasze życie tutaj jest całkiem wygodne.

— To wszystko wydaje mi się jakieś tajemnicze. Prawdę mówiąc. — zachichotała Patrycja. — Zabroniliście nam lądowania, twierdząc że to za bardzo niebezpieczne, ale kiedy już to zrobiliśmy, nie spotkaliśmy tu żywej duszy poza wami, chłopcy. Kazaliście nam założyć opaski na oczy, tak żebyśmy nic nie widzieli, a teraz mówicie, że jesteście tutaj od sześciu lat, bez żadnego urlopu. Nawet zaciągnęliście zasłony, żebyśmy nie mogli wyjrzeć przez okno. Prawdę mówiąc. To jest strasznie tajemnicze. Wiem tylko, że z chęcią tu trochę zostanę – naprawdę z chęcią.

Dave Malone spoglądał na nią pełnymi uwielbienia oczyma rozkochanego psiaka. Steve Benton popatrzył na niego i ostro polecił:

— Chodźmy, Dave. Przyjrzymy się trochę krążownikowi. Mam nadzieję, że znajdą się u nas wszystkie materiały potrzebne do jego naprawy.

Zwrócił się ponownie do obojga cywili.

— Macie państwo tu wszystko, co potrzeba. Jedzenie, picie, książki, nagrania – filmy, cokolwiek sobie państwo życzycie. Czujcie się jak u siebie w domu. Niedługo wrócimy. Obawiam się, że muszę poprosić o państwa słowo, że nie wyjdziecie z budynku, ani nie będziecie wyglądać przez okna.

— W porządku — parsknął Macbride.

— Panna Macbride?

— Obiecuję — zachichotała Patricia.

Kiedy znaleźli się na dworze i szli w kierunku uszkodzonego statku, Steve Benton z zatroskaniem popatrzył na swego kolegę.

— Lepiej uważaj na siebie Dave, inaczej znajdziesz się w prawdziwym emocjonalnym bagnie. Wiesz przecież, że ona nie może tu zostać, a ty nie możesz odlecieć.

Malone odpowiedział natychmiast.

— A czemu, nie? Dlaczego nie mogłaby zostać z nami? Tutaj nie jest tak źle. Dobrze nam się tu przecież żyje, co nie? Dlaczego nie powiedzieć im, że nie potrafimy naprawić statku, tak żeby ona również musiała tutaj zostać. Mielibyśmy towarzystwo, Steve. Dużą ulgą nawet byłoby mieć tutaj tego starego człowieka. Kogokolwiek nowego.

Mięśnie na twarzy starszego oficera wykrzywiły się.

— Nie powinieneś tak mówić, Dave. Stacjonować tutaj, oznacza coś więcej niż tylko wykonywać normalną żołnierską robotę. Zaufano nam. W pewnym sensie zależy od nas los całej rasy. Jeżeli pozwolimy sobie na opuszczenie się w naszej pracy, choćby odrobinę, stanie się to precedensem, który ułatwi nam podobne zachowanie następnym razem.

— Następny raz nie będzie potrzebny. A nikt się nie dowie, że zrobiliśmy to celowo, nawet oni.

Uśmiech Steve'a Bentona był lekko wykrzywiony.

— Rozumiem. Jeśli zdobędziesz tę dziewczynę dla siebie, to skończy sprawę. A jeśli kiedyś ja także będę chciał jakąś sobie znaleźć? Albo przypuśćmy, że Macbride stwierdzi, że chce żony, aby dzieliła jego wygnanie? To wszystko zacznie się nawarstwiać, Dave, aż cały projekt skończy się porażką.

Rudowłosy był mocno przygnębiony.

— Chyba masz rację, Steve. — Przez chwilę szli nic nie mówiąc i jego naturalny dobry humor zaczął mu wracać. — Może zobaczy luvvera przypadkowo — powiedział z nadzieją.

Początkowo, kolacja tego wieczora była całkiem miła. W oczach dwu wygnańców, szorstką naturę i szydercze komentarze Macbride'a, równoważył rzucający się w oczy urok kobiecy jego córki. Ewidentnie żadnemu z nich nie przyszło nawet do głowy, że jej chichoty stracą swój urok w ciągu kilku lat, jeśli nie miesięcy. Oczywiste było, że uważali ją za cudowną.

— Jak wygląda sytuacja naszego statku? — warknął Macbride. — Czy szybko będziemy mogli odlecieć?

— Może nawet jutro, pod koniec dnia — poinformował go Benton. W jego odpowiedzi słychać było ton nadziei.

— Nigdy bym nie pomyślała — sprzeciwiła się Patricia. — Pańskie słowa zabrzmiały, jakby śpieszno było panu się nas pozbyć. Prawdę mówiąc. Założyłabym się, że porucznik Malone tak nie myśli.

Zwróciła swe czyste błękitne oczy na omdlewającego z miłości młodzieńca.

Rudowłosy przełknął ślinę.

— O jejku, pewnie że nie. Ale Steve też nie miał tego na myśli, panno Macbride…

Zachichotała.

— Mam na imię Patricia.

Przełknął ślinę ponownie.

— Eee… Patricio. Chodzi o to, że wasz pobyt tutaj nie jest bezpieczny. Każda jego chwila wiąże się z zagrożeniem i żaden z nas nie spocznie, dopóki was stąd bezpiecznie nie odeślemy.

Donald Macbride chrząknął sceptycznie.

— Dla mnie to jakaś farsa. Przez cały czas panowie mówicie o ogromnym zagrożeniu, ale obaj chodzicie bez broni. Sugerujecie coś strasznego i zabraniacie nam wyglądać przez okna. Dzieje się tu coś dziwnego. Coś panowie przed nami ukrywacie.

Steve Benton zerwał się na nogi. Rzucił swoją serwetkę na stół.

— Dokładnie tym się zajmujemy, proszę pana. Siły Kosmiczne pozostawiły nas tutaj, tylko po to byśmy coś przed panem ukrywali. A teraz, chyba lepiej będzie jeśli powstrzymamy się od dalszej dyskusji na ten temat. Musicie państwo być zmęczeni. Porucznik Malone pokaże państwu pokoje.

— Ale Steve — zaprotestował rudowłosy — mogą minąć lata, zanim będziemy mieli szansę z kimś porozmawiać.

Benton odparł krótko.

— Niestety, pan Macbride chyba nie jest w stanie odmówić sobie komfortu sprzeciwu przeciwko ścisłym regulacjom, które muszą obowiązywać w tym miejscu. Wolałbym zakończyć teraz tę rozmowę. Jutro dokończymy naprawy na statku naszych gości i odeślemy ich z powrotem w kosmos tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

— Młody człowieku — zahuczał Macbride. — Pańskie zachowanie jest nie do przyjęcia. Kiedy wrócimy do domu, zmuszony będę zawiadomić o tym pańskich przełożonych.

Steve Benton roześmiał się z goryczą.

— Niech więc pan tak zrobi, proszę pana. Ciekawe, jakiego rodzaju karę wymyślą Siły Kosmiczne dla człowieka na stałe uwięzionego, bez możliwości zwolnienia, na takiej niewielkiej planetce.

Dave Malone wyszczerzył zęby w uśmiechu, na pomysł, który wpadł mu do głowy.

— Może cię zdegradują, Steve.

Steve'owi Bentonowi wcale nie było łatwiej oprzeć się urokowi Patricii Macbride, niż Davy'emu Malone. Benton był absolutnie normalnym facetem, a normalny facet zachowywałby się dokładnie tak, jak rudowłosy Malone. Dziesięć lat bez towarzystwa jakichkolwiek kobiet, nie było łatwe do zniesienia. Nie pomagała mu także świadomość podobnych dziesięciu lat, jakie go czekały, a po nich – kolejnych.

Wygnanie. Wieczne wygnanie i nic więcej.

Przewracał się w łóżku z boku na bok, zdając sobie sprawę z tego, że pod tym samym dachem, kilkadziesiąt jardów od niego, śpi młoda, atrakcyjna kobieta. Już niemal zapomniał, że kobiety były czymś więcej niż bajkowymi stworzeniami ślicznie prezentującymi się na ekranie filmowym; niemal zapomniał, że były czymś więcej niż postaciami w nieskończonym ciągu książek, które przeczytał w ciągu tych dziesięciu lat. Niemal…

Nie mógł spać i w końcu zrzucił z siebie kołdrę, wstał z łóżka i zaczął szukać papierosów. Wreszcie znalazł je na niewielkim stole koło łóżka. Okno było otwarte i uderzył go chłód nocnego powietrza. Leniwie wyjrzał na zewnątrz, mając nadzieję, że przybysze posłuchają jego rozkazów i będą mieli okna zamknięte, z pozasuwanymi zasłonami. Nie, żeby w nocy niebezpieczeństwo było jakieś specjalnie wielkie, ale pomimo tego nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś luvver przyplącze się koło bazy.

Jego uwagę przyciągnął błysk bieli. Wyglądał, jakby się poruszał. Zmarszczył brwi, nie mogąc dokładnie go umiejscowić i przyjrzał się dokładniej, próbując przebić mrok nocy.

Nagle zerwał się na nogi i pomknął do drzwi. Po drodze uderzył głośno o parę mebli, nie chcąc tracić czasu na zapalenie światła.

Z wejścia drugiej sypialni wyjrzały na niego rozespane i oszołomione oczy Malone'a. Rudzielec wymamrotał:

— Co się dzieje?

Benton krzyknął tylko do tyłu przez ramię, nie zwalniając biegu do frontowego wejścia.

— Ona jest na dworze! Patricia wyszła z budynku! Zostań tu. Uważaj na jej starego…

Rudowłosy natychmiast się obudził.

— Niech mnie makron. To musiało się tak skończyć. Powinniśmy ich zamknąć na klucz.

Steve Benton pośpieszył przez otwarty teren, w czasie biegu rozglądając się w ciemnościach, najdokładniej jak tylko mógł. Jak na razie wszystko w porządku. Nie widać żadnego luvvera. Być może po prostu…

Dobiegł do niej i szorstko złapał ją za ramiona. Ubrana była w białą, na wpół prześwitującą nocną koszulę. Spodziewał się, że spojrzy na niego władczo i uwodzicielsko jak Kleopatra, ale nie. Nie miał jednak czasu, ani cierpliwości na jej kobiece sztuczki.

Potrząsnął nią.

— Ty wariatko! Co robisz tutaj, na dworze. Natychmiast wracaj do domu. Czy coś widziałaś? — dodał z niepokojem.

Zaczął przesuwać ją w stronę budynku. Próbowała strząsnąć z siebie jego ręce z niecierpliwością, ale pociągnął ją ze sobą dalej, nieustannie strzelając oczyma na widok każdego cienia, nerwowo, z niepokojem.

— Och, panie poruczniku… Steve… nie bądź taki zły. W środku było tak duszno. Nie mogłam spać. Proszę, moja ręka… Poza tym, co tu można zobaczyć? Zachowywaliście się tak tajemniczo, a tutaj nic nie ma poza starym lądowiskiem, ze zwyczajnym hangarem i warsztatem naprawczym.

Chrząknął.

— Może jesteś bezpieczna. W nocy nie pokazują się zbyt często. — Przyśpieszył tempo ich poruszania, niemalże ciągnąc ją do domu. — Co ci strzeliło do głowy? Czy nie powiedziałem wam, że w żadnym wypadku…

Zachichotała.

— Miałam zamiar cichutko się zachowywać, a gdybyś mnie przyłapał, udawać, że jestem lunatyczką… Ale, patrz!

Obrzucił ją wzrokiem.

— Na co mam patrzeć? Co tam widzisz? – Próbował z niepokojem dojrzeć, na co ona patrzy. Była w ciemnościach dłużej niż on i jej oczy lepiej się do nich przystosowały. Potrząsnął nią szorstko. — Co tam widzisz?

Odpowiedziała niecierpliwie, nadal próbując uwolnić swoją rękę.

— Nie bądź głupi. To jest nic. Jakieś miłe, małe zwierzątko. Słodkie małe stworzonko, o rozmiarach foksteriera, podobne do małpki. Popatrz tylko na te duże, smutne oczy. Steve… czy one są miłe?

Wyjęczał:

— Luvver.

Obrócił ją ostro dookoła, tak że znalazła się twarzą do niego i bezlitośnie walnął ją pięścią w szczękę. Opadła bezwładnie i pochwycił ją w ramiona.

Zaniósł ją do drzwi i kopnął je, klnąc pod nosem gdy jego goła stopa uderzyła w metal.

— Wpuść mnie, Dave — krzyknął. — Tu jest luvver. Upewnij się, że jej stary go nie zobaczy, a przede wszystkimi nie wpuść go czasami do środka! Dave, użyj całej swojej siły woli. Nawet jeśli będzie chciał wejść, nie wpuść go!

Głos Malone'a był stłumiony przez drzwi, ale dało się w nim wyczuć skupioną determinację.

— W porządku, Steve, otwieram drzwi. Szybko, wchodźcie do środka.

Drzwi uchyliły się na tyle szeroko, by Benton wraz ze swoim ciężarem wślizgnął się do domu, i natychmiast za jego plecami zamknęły się z trzaskiem. Rudowłosy stał za nimi, ocierając pot z czoła.

— Dzięki Bogu, nie widziałem go! Gdybym go zobaczył, a on miałby ochotę wejść do domu, byłoby prawdziwe piekło.

Steve Benton zaniósł dziewczynę na leżankę i spróbował położyć ją tak, by było jej jak najwygodniej. Nerwowo przesunął szybko dłonią po swoich włosach, tak jakby chciał ją z czegoś obetrzeć. Patrzył z rozpaczą na dziewczynę.

Ze swojego pokoju przybiegł Donald Macbride, narzucając na ramiona szlafrok. Twarz miał ściągniętą z niepokoju.

— Co się stało? Co tu robi Patricia?

Steve zignorował go i ostro zawołał do Malone'a:

— Widziała go tylko przelotnie. Dave, przynieś narkotyk, lethe. To jej jedyna szansa.

Rudowłosy wypadł z pomieszczenia i wrócił po kilku sekundach, niosąc w rękach strzykawkę i ampułkę z lekarstwem.

Macbride wpatrywał się w nich.

— Co się dzieje z moją córką? Co robicie? Dlaczego ona jest nieprzytomna… a może ona…

Steve Benton zaczął szybko napełniać strzykawkę.

— Ona nie jest martwa, jeśli o to panu chodzi. Musiałem ją znokautować. Tam na dworze, zobaczyła luvvera. Naszą jedyną szansą jest spróbować zatrzeć to wspomnienie w jej pamięci.

Strzykawka była pełna, odsłonił więc jej ramię i pochylił się, aby zrobić zastrzyk.

Jej ojciec stanął koło niego i szorstko powstrzymał mu rękę.

— Chwileczkę. Muszę się dowiedziecie czegoś więcej. Nic nie rozumiem. Co jest w tej strzykawce?

Malone odepchnął go na bok.

— Stań z tyłu, ty stary głupcze. Czy chcesz, żeby twoja córka mogła kiedykolwiek stąd odlecieć? Jeśli tak, to zamknij się i módl. Gdybyśmy wiedzieli, że ona jest takim rozkapryszonym, upartym smarkaczem, zamknęlibyśmy ją w jej pokoju na klucz.

— Ale… ale…

Steve szybko dokończył zastrzyk. Rzucił ze znużeniem strzykawkę na stół i podszedł do automatycznego baru, by powrócić po chwili z trzema mocnymi brandy. Wręczył szklaneczki pozostałym i wskazał im krzesła.

Wypił jednym łykiem połowę swojego drinka i odczekał chwilę, zanim zaczął mówić. Potem popatrzył na bladego teraz jak ściana ojca i nieprzytomną dziewczynę.

— Chyba będzie musiał się pan wszystkiego dowiedzieć, pomimo przepisów.

— Nie… nie rozumiem.

Steve westchnął.

— Nie, oczywiście, że pan nie rozumie. Tylko ze dwudziestu ludzi w całym układzie, wie o tym. — Przerwał na kolejną chwilę, a potem mówił dalej. — Ostatnim razem stało się to sześć lat temu. Wtedy, ofiarą był Dave. Okoliczności były dosyć podobne; statek musiał dokonać tutaj awaryjnego lądowania. Tak jak w pańskim przypadku, dołożyłem wszelkich starań, aby zapobiec wyjściu załogi na zewnątrz. Ale dla naszego rudowłosego przyjaciela, tajemnica była zbyt kusząca, wymknął się ze statku i zobaczył luvvera. Od tej chwili, musi dzielić ze mną moje wygnanie. Żaden z nas nigdy nie opuści tej odludnej planety. — Przejechał grzbietem dłoni po ustach. — Mam nadzieję, że środki jakie podjęliśmy w przypadku pańskiej córki, oszczędzą jej tego losu.

Macbride wybuchnął.

— Fantazje! Na sam widok tego zakichanego zwierzaka? Co za straszliwe…

Benton skończył drinka i wziął kolejnego, którego wręczył mu Dave Malone. Rudowłosy stał przy barze, wychylając jednego za drugim.

Steve pokręcił głową.

— Panie Macbride, czy kiedykolwiek pan się zastanawiał, jak wiele rozmaitych metod używanych jest przez faunę jako środki obrony? Weźmy powiedzmy, zwierzęta, które znajdzie pan na Ziemi. Jedne szybko uciekają, tak jak na przykład jeleń. Inne, jak węże, są jadowite. Skunks odstrasza swych wrogów za pomocą zapachu. Guziec korzystając z odpychającego wyglądu. Ptaki uciekają przed niebezpieczeństwem w powietrze. Kameleon kryje się, zmieniając swój kolor, aby wtopić się w otoczenie. Wielkie koty są dzikie, słonie wielkie jak forteca. Pszczoły mają żądła, żółwie pancerze, zaś jeże – igły.

Starszy mężczyzna popatrzył z zatroskaniem na córkę.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Patricią, ale jeśli muszę tego wszystkiego wysłuchać, to zapewnijmy jej przynajmniej wygodę.

Malone odparł:

— Wszystko z nią w porządku. Będzie leżała jak kłoda, co najmniej przez trzy dni.

— Trzy dni!

— Proszę pozwolić mi mówić dalej — nie ustępował Benton. — Pańska córka jest ofiarą naturalnego mechanizmu obronnego luvvera, najciekawszego zwierzęcia tej planety. Jest jedyną znaną formą życia, która wykorzystuje do swej obrony uczucie sympatii.

Macbride przyjął to z oburzeniem.

— Chce mi pan powiedzieć, że jedyną rzeczą, jaką to straszliwe zwierzę może zrobić, to wywołać uczucie sympatii do siebie?

— Zgadza się. Jedyne, co może zrobić, to wywołać uczucie sympatii. Wszystko, nie tylko wszyscy, lubi luvvery. Nic nawet nie myśli, o tym, aby je skrzywdzić. Prawdę mówiąc, trudno jest utrzymać inne zwierzęta z dala od nich. Całymi stadami podążają za luvverami, adorując je z czcią. Są one wszystkożerne, jak ludzie, i nigdy nie mają problemu ze zdobyciem takich ilości mięsa, jakie chcą. Ich zwierzęce ofiary po prostu podchodzą do nich i z miłością pozwalają się zabić i zjeść. Zdolność luvverów do wywoływania sympatii, jest silniejsza niż instynkt samozachowawczy.

— Chce pan powiedzieć, że Patricia pozwoliłaby temu stworzeniu zabić się bez walki, albo chociaż bez próby ucieczki? — W głosie mężczyzny pojawił się ton zgrozy.

— Na szczęście, nie stoimy przed tym problemem. Luvvery nie są chyba zainteresowane ludzkim mięsem. Zagrożenie wiszące nad pańską córką polega na fakcie, że wywołują one niewygasającą miłość.

— Nie rozumiem, na czym to zagrożenie polega. Pomimo wszystko, od stuleci ludzie kochają swoje koty i psy…

— Powiedziałem – niewygasającą miłość. Miłość, której nie można się oprzeć, bezmyślną. Proszę sobie wyobrazić możliwości. Przypuśćmy, że jakiś luvver zostanie zabrany na Ziemię i umieszczony w Zoo. Każdy, kto go zobaczy, nie będzie w stanie go zostawić. Miliony ludzi zacznie się tłoczyć koło Zoo, aby być blisko niego. Setki, tysiące będą knuć, spiskować, kraść, walczyć usiłując zabrać go do domu, aby obdarzyć go swym wyłącznym uczuciem. Krótko mówiąc, panie Macbride, luvvery wytwarzają straszliwą więź, silniejszą niż najgorsze narkotyki.

— Jutro umieścimy pańską córkę na statku i natychmiast wystartujecie. Ostrzegam pana, proszę nigdy nie wspominać przy niej o luvverze. Jeżeli będzie miał pan szczęście, udało nam się na stałe zatrzeć to wspomnienie w jej umyśle. Kiedy się ocknie, proszę ją uważnie obserwować. Gdyby zaczęła się domagać, aby ją przywieźć z powrotem tutaj, proszę ją przywieźć. Nic nie da się zrobić. Jeśli zbyt długo nie będzie mogła zobaczyć luvvera, umrze z melancholii.

Macbride nagle zaczął wyglądać bardzo staro. Twarz zrobiła mu się popielato-blada. Włosy, już poprzednio poznaczone pasemkami bieli, teraz wydawały się zupełnie siwe. Z wolna zaczął rozumieć całą sytuację.

— Ale czemu Siły Kosmiczne zostawiły tu was, byście ostrzegali inne statki? Dlaczego ich po prostu nie wybić? Zniszczyć je zupełnie!

Dave Malone wzdrygnął się na to bluźnierstwo.

— Nie można zabić luvvera. Sam by pan się powstrzymał. Jedyne co możemy zrobić, to chronić innych przed tym, aby je zobaczyli, oraz uniemożliwić im przedostanie się na inne planety. Czy rozumie pan groźbę, że jakiś statek mógłby tutaj wylądować i niechcący zabrać parę tych stworzeń na pokład, jako zwierzęta domowe? Gdziekolwiek by się pojawiły, ludzie chodziliby za nimi jak szczury za Flecistą z Hameln.

Macbride odleciał krótko przed zmierzchem, następnego dnia. Zaprowadzili go do jego niewielkiego statku kosmicznego, z zawiązanymi

oczyma, tak jak poprzednio. Steve Benton zaniósł jego oszołomioną córkę na pokład i umieścił ją w jej koi.

Potem dwaj wygnańcy stali i przyglądali się, jak krążownik znika w niebie.

— Może daliśmy jej ten narkotyk na czas — powiedział Malone. — Tak naprawdę, nie widziała luvvera zbyt dobrze i dosyć krótko.

Steve popatrzył kwaśno na swego towarzysza.

— Myślałem, że aż się paliłeś do tego, by tutaj została.

Rudowłosy wzruszył z irytacją ramionami.

— Nie jestem już taki pewien. Prawdę mówiąc, Steve, zaczynało być już męczące mieć tych obcych tak długo na karku i być daleko od nich…

Kiedy wrócili do domu, ich oczy rozjaśniły się.

— Jest tu jeden z naszych kochanych maluchów. — Steve przykucnął i wyciągnął w ręku kawałek cukru. — Masz, słoneczko. Masz, skarbie…

Luvver wynurzył się z cienia budynku i popatrzył na nich smutnym wzrokiem. Obaj uśmiechnęli się z uwielbieniem.

Stworzenie leniwie do nich podeszło.

KONIEC